

TYGODNIK SŁOWA POLSKIEGO

BEZPŁATNY DODATEK NIEDZIELNY DO „SŁOWA POLSKIEGO“ POŚWIĘCONY NAUCZE LITERATURZE I SZTUCE
POD REDAKCYĄ JANA KASPROWICZA.

WACŁAW RADZISZEWSKI.

Na twoją słodką twarz Madonny...

Na twoją słodką twarz Madonny
Pada srebrzysty blask księżyca,
Zapachem łąk rozkwitłych wonny.

I jakaś święta Tajemnica,
Jakiś Marzenie świat przenika
I w serce bije i zachwycę.

I płynie cicha pieśń, muzyka,
Co białem kwieciami w piersi pruszy
I bezmiar Szcześcia w nich zamyka...

To jest muzyka młodej duszy,
Co zakochała się i marzy
I drży i przyszłej swej katuszy

Ani złorzeczy, ni się skarży,
A tylko c y ni ślub dozgonny,
Zwisając cała u twojej twarzy,

U słodkich, drogich lic Madonny.

VILLIERS DE LISLE ADAM.

TORTURA PRZEZ NADZIEJĘ.

Oh! une voix, une voix pour crier!

Zmrok już zapadał nad ziemią owego wieczoru dawno minionych czasów, gdy Pedro Arbuez d'Espila, szósty przeor Dominikanów segowijskich, a trzeci Wielki Inkwizytor Hiszpanii, kroczył przez podziemia gmachu Oficyału w Saragossie, dążąc ku jednej z ciemnic. Towarzyszył mu fra redemptor (mistrz tortur), a poprzedzało go, — niosąc w ręku latarnie, — dwóch urzędników Inkwizycyi. Ciężkie podwoje skrzypnęły w zawiasach; zakonnicy weszli do cuchnącego lochu. Przy mdłym świetle, padającym z góry, dojrzał tu było można fajerkę, dzban gliniany, pieniek od krwi czarnej i, wkute w ścianę dwa żelazne pierścienie. Na łożu z przegnitej słomy siedział człowiek w łańcuchach, wieku nieokreślonego, o wejrzeniu błędnym. Skrępowany był więzami, a szyję miał ujętą w żelazną obręcz.

Więźniem tym był rabbi Aser-Abarbanel, żyd aragoński, oskarżony o lichwę i bezlitość dla biednych pogardę, a od roku już podlegający codziennej

torturze. Lecz żyd odmawiał uparcie wyrzeczenia się swej wiary: zaślepienie jego równie było głębokiem, jak twardą jego skóra. Wszyscy żydzi, godni tego imienia, szczytą się krwią swoją. Aser-Abarbanel dumny był z długiego szeregu przodków, który wykazać mógł za lat tysiące. Według talmudu wywodził ród swój od Othoniel'a, a więc i od Ipsiboe, żony tego ostatniego z sędziów Izraela. Świadomość o tem podtrzymywała jego odwagę w najcięższych chwilach nieustannych tortur.

Wielebny Pedro Arbuez d'Espila przybliżył się do rabina i, z oczyma łez pełnemi, na myśl, iż tak hartowna dusza zamyka przed sobą drogi zbawienia — przemówił doń w te słowa:

— Raduj się, mój synu! Oto bliskim jest koniec twych cierpień na ziemi. Niejednokrotnie zmuszony byłem, wobec twego twardego uporu, pozwalać — aczkolwiek z bólem serca — na karcenie cię w sposób ciężki i ostry. Jednak me dzieło braterskiej poprawy ma swój kres właściwy. Jesteś, jak odporne drzewo figowe, bezpłodne od lat wielu i skazane na uschnięcie. Lecz Bóg jeden orzeknie o twej duszy. Jego najwyższa łaska zajaśnieje może dla ciebie w chwili ostatniej. Ufajmy w to, gdyż zdarzały się podobne przykłady! Spoczywaj więc w spokoju dzisiejszego wieczora. Jutro czeka cię auto-da-fé: wystawionym będziesz na działanie „quemadero“, którego ogień stanowi niejako przedwstęp wieczystych płomieni. Jest to stos, który, jak wiesz, mój synu, pali na odległość. Śmierć następuje więc dopiero po dwóch, nieraz po trzech godzinach, dzięki zmoczonym, lodowatym płachtom, w które owijamy głowy i serca całopalnych ofiar. Będzie was czterdziestu trzech tylko. Przypominam ci, iż umieszczą cię w ostatnim rzędzie; masz więc czas — jeśli zejdziesz na cię skrucha — wezwać Boga i ofiarować mu ten chrzest ognia, który jest z Ducha Świętego. Ufaj w Jego Światłość i śpij dziś w spokoju.

Skończywszy tę przemowę, don Arbuez nakazał gestem oswobodzić nieszczęsnego więźnia z łańcuchów i uściśnął go czule. Fra-redemptor ujął go następnie w objęcia, prosząc z cicha o wybaczenie wszystkich mąk, jakie mu zadał, mając na celu odkupienie jego duszy. Wreszcie ucałowali go dwaj urzędnicy świętego Oficyału; pocatunek ich zabrzmiął głucho po przez kaptury na twarz osunięte. Poczem wyszli wszyscy, pozostawiając zdumionego więźnia samego i w ciemnościach.

Z twarzą stępiłą od cierpień, i ustami, splekmi od gorączki, rabbi Aser-Abarbanel patrzył bezmyślnie na drzwi zamknięte. Zamknięte?... W tajemnych głębiach jego duszy, wyraz ten obudził jakiś oddźwięk. Bo, przed chwilą, światelko latarni mignęło właśnie w szparze pomiędzy drzwiami i murem. Jakaś

chorobliwa nadzieja zrodziła się w znękanym mózgu żyda i wstrząsnęła całą jego istotą. Poczował się w stronę, gdzie zaświtała dziwna jasność. Wolno, bardzo wolno i niesłychanie ostrożnie, wsunął palec w dojrzaną szczelinę i pociągnął drzwi ku sobie. O, zdumienie! Traf jakiś niezwykły sprawił, iż mnich przekreślił klucz w zamku, zanim podwoje uderzyły o kamienne sklepienia. Zardzewiały rygiel nie wszedł był w zasuwkę: drzwi były otwarte.

Rabbi odważył się wyrzucić na korytarz. Dojrzał najpierw, po przez zalegające go sine mroki, półkrąg ziemnistych murów, w których wyłobione były kręcone schody; wprost przed nim, kilka stopni kamiennych prowadziło do ciemnego krużganka, za którym ciągnął się długi korytarz; z miejsca, gdzie żyd leżał, widać było zaledwie pierwsze łuki sklepień.

Rabbi zaczekał się do progu krużganka. Tak, tam dalej był korytarz niezmiernie długości. Z lampek, zawieszonych u sklepienia, padały nań blade, jakby senne blaski, przesycające powietrze jakąś barwą niebieskawą; w dalekiej głębi panowała ciemność niezmienna. W murze nie było żadnych drzwi na całej tej przestrzeni. Z jednej tylko strony tkwiły we framugach zakratowane okienka, przez które wdierały się wieczorne pewnie cienie: czerwone smugi znały miejsca kamienne płyty posadzki. Przerazająca cisza zalegała podziemie! A jednak, w tej czarnej czeluści, mogły się kryć drzwi, prowadzące na wolność. Żyd trwał uparcie w tej trwożnej nadziei, gdyż była to nadzieja ostatnia...

Więc, nie wahając się już, poczował się dalej wzdłuż ściany, w której umieszczone były okienka; zlewał się w jedno z szarą barwą murów. Posuwał się naprzód powolnie, dusząc w piersi jęki, gdy ból ostry odzywał się w rozjątrzonych przez rzech ranach.

Nagle usłyszał odgłos zbliżających się kroków. Przyniosły mu go echa tych kamiennych sklepień. Przeszedł przejął żyda; zamroczyło mu się w oczach. Skurezył się i weisnął we framugę. To jakiś oprawca Ofieału szedł pospiesznie; wyglądał straszliwie; kaptur miał na twarz spuszczonej, a w ręku trzymał narzędzie tortury: żelaza do szarpania mięśni.

Przeszedł szybko. Rabin doznał tak silnego wstrząśnienia, iż zamarły w nim niejako czynności życiowe i przez godzinę przeszedł leżał nieruchomie. Przez chwilę zamierzał już powrócić do więzienia w obawie nowych męczarni. A spotkałby go one niechybnie, gdyby został schwytany. Ale nadzieja, której nie wykorzenie z duszy naszej nie zdoła, szeptała mu z cicha boskie: „A może“... dodające moey w najeźszych doświadczeniach losu! Stał się dlań cud; nie miał prawa o tem wątpić. Więc począł czołgać się dalej ku przypuszczalnemu wyjściu, choć był przez głód i cierpienie wycieńczony, choć drżał cały z trwogi. Grobowy korytarz zdawał się wydłużać tajemniczo w nieskończoność. A on, posuwając się wciąż naprzód, patrzył w dalekie ciemnie, gdzie kryć się musiał wrota zbawienia.

Ah... znowuż rozbrzmiewają kroki dziwnie ponure i bardzo powolne. Białe z czarnem postacie dwóch inkwizytorów, w wielkich kapeluszach o podwiniętych brzegach, wyłoniły się z szarych mroków. Rozmawiali półgłosem; toczyli prawdopodobnie spór w jakiejś poważnej kwestyi, gdyż gestykulowali żywo obydwoj.

Rabbi Aser-Abarbanel zamknął oczy; serce biło w nim miotem, zimny pot agonii oblał go pod ła

chmanami. Zdrętwiały i nieruchomy, leżał przy ścianie, pod promieniem zawieszzonej niedaleko lampy, wzywając na pomoc Boga Dawida.

Dwaj inkwizytorowie zatrzymali się nawprost niego przy świetlnym kręgu, który rzuciła lampa. Stało się to, oczywiście, przypadkiem i wynikało z toku dyskusyi. Jeden z nich, patrząc na swego interlokutora, skierował wzrok w stronę żyda, któremu zdało się, że czuje już piekące kleszcze, wpijające się w jego ciało. Znow wiece stanie się jedną skargą i jednym bólem! Zamknął oczy i, zaparłszy oddech w piersi, leżał bezsilnie; chwycił go kuroz prawdziwy, gdy dotykała go suknia mnicha.

Lecz stała się rzecz dziwna, a zarazem naturalna. Wzrok inkwizytora był widocznie wzrokiem człowieka rozważającego coś głęboko i wsłuchanego w argumenta swego przeciwnika. Oczy jego, utkione w punkt jeden, zdawały się patrzeć na żyda, ale go nie widziały.

Rzeczywiście, po upływie kilku minut, dwaj posępni towarzysze poszli wolnym krokiem dalej, rozmawiając wciąż półgłosem i dając ku krużgankowi, od którego żyd tu się był przyczołgał. Nie dojrżeli go byli. Dziwna myśl przemknęła mu nagle przez mózg, w którym wszystko mąciło się chaotycznie: „Czyżbym już był trupem, że mnie nie zobaczyli?“ Z tego stanu osłupienia wyrwało go ohydne wrażenie: wydało mu się, iż z muru, tuż przy jego twarzy, patrzy nań i wpija mu się w duszę dwoje okrutnych oczu. Włosy zjeżyły mu się na głowie, cofnął się w tył całym ciałem, zdjęty potwornym strachem. Lecz nie, nie... pomacał ręką kamienie i zrozumiał, iż było to tylko złudzenie wzrokowe: uwiązł mu było w oczach odbicie żrące inkwizytora, które majaczyły się teraz przed nim, jak dwie plamy na murze.

W drogę! Trzeba było spieszyć do celu, u którego czekała go swoboda; tak przynajmniej mówiła mu podniecona chorobliwie wyobraźnia. W drogę! Ku tym cieniom, od których dzieliło go zaledwie kroków 30! I rozpoczął znow swą krzyżową mękę, pełzając na brzuchu, na kolanach, na rękach. Dotarł wreszcie do najejemniejszej części korytarza. Nagle powiało mu chłodem na ręce, które opierał o płyty; to ostry prąd wiatru wdierał się przez szpary pod drzwiami, do których wiodły mury. O Boże! gdybyż za tą furtą było zbawienie i wolność... Jakaś potężna nadzieja przeniknęła całą istotę nędznego zbiega. Wpatrzył się we drzwi, których nie mógł odróżnić dokładnie wśród otaczających mroków. Szukał ręką: nie było w nich ani zatrzasku, ani rygla. Zamykały się na zwyczajną zasuwkę. Żyd wyprostował się, popełnał zasuwkę; ciche podwoje rozwarły się przed nim...

Alleluja! — szepnął rabbi w olbrzymim dziękczynnym westchnieniu, patrząc na widok, który rozświecał się przed jego wzrokiem. Drzwi otwierały się na ogrody, na noc gwiazdzistą, na wiosną, na wolność, na życie! Otwierały się na pobliskie wioski, biegnące do podnóża gór, które wrzynały się siną linią w niebo. Tam było zbawienie! Ah! uciec!... Będzie biegł przez noc całą po przez cytrynowe gaje, które aż tu stały swe wonie. A gdy stanie w górach, będzie już bezpiecznym. Oddychał głęboko, chłonąc powietrze zdrowe i czyste. Wiatr go orzeźwił, płuca rozszerzały się błogo. W duszy śpiewało mu „Veni foras“ Łazarza. I rozwarłszy szeroko ramiona, wznosił

oczy ku niebu, dziękując jeszcze Bogu, który zesała nań swe zlitowanie. Był w ekstazie.

Nagle wydało mu się, iż obejmuje go w uścisku cień jakiś. Ramiona — widma tuliły go czule do czyjejsi piersi. Stała przy nim rzeczywiście jakaś wysoka postać. Pełen ufności, zwrócił ku niej wejrzenie. Lecz zachwiał się na nogach, przerażony i błędny, patrząc stępiałym wzrokiem; z ust ciekła mu piana.

O, rozpacz! był w objęciach Wielkiego Inkwizytora, wielobnego Pedro Arbuez d'Espila. Mniech patrzył nań oczyma, w których iskrzyły się łzy ciężkie, jak Dobry Pasterz, odnajdujący zbłąkaną owieczkę. I tulił nieszczęsnego żyda do łona tak gorąco i litośnie, iż ostrza pokutnego pasa wryły mu się w ciało pod habitem.

Z gardła rabiego wydobywało się głucho rżenie; oczy stanęły mu ślepem. Zaczynał wreszcie pojmować, iż wszystkie zajścia tego fatalnego wieczoru były tylko różnemi fazami obmyślanej z góry tortury: tortury przez nadzieję! A Wielki Inkwizytor patrzył nań zbołałym wzrokiem i szeptał tonem gorzkiego wyrzutu, zięjąc nań zgorączkowanym oddechem ascety, przywykłego do długich postów:

— Jakto, mój synu! Chciałeś nas opuścić... i to może w przededniu twego zbawienia!

Przeł. z francuskiego MARYA RAKOWSKA.

ADOLF BASLER.

Powieści książęce Elemira Bourges'a.

(II.) Ale i błazeństwa Włocha poczęły nudzić księcia. W dzieciach szczęścia nie widział. Nie obochodziły go wcale. Najmniej był lubianym przez ojca Hans Ulrich z powodu swej brzydoty, ponurego usposobienia, wstępu do sportów rycerskich, większego zamiłowania do poezji i muzyki, niż do broni, a także z powodu ciągłego przebywania w towarzystwie anielskiej dobroci Krystyny. Otton zaś był prawdziwym beniaminkiem ojca. Miał nader dekoratywną mordę kretyna rasowego, maltretował służbę, psy, konie, wciąż tylko w stajni przesiadywał i roznosił smród łajna po pałacu.

W chwili, gdy nawet Ulrich i Krystyna śpiewem i muzyką nie byli w stanie wyrwać ze spleenu ojca, w takiej chwili dobry syn Otton wspomniął o tej śpiewaczce Giuli Beleredi. W lot pochwycił ojciec tę myśl cudowną i niebawem zwałił bez trudu primadonnę do swego pałacu.

Książę wciąż wpadał w furję, dukał, co napotkał, mścił się przedewszystkiem na Cezarze, swym psie ulubionym. Oswoił się nareszcie z sytuacją wygnania. Nie rozstawał się ani na chwilę z Arcangelim, który go kąpał, perfumował, i masaż mu robił. Wpijał mu się w same serce Arcangeli swem psem przywiązaniem i z dniem każdym stawał się coraz to konieczniejszym dlań sprzętem...

Tymczasem chmury nieszczęść zgęszczać się poczęły nad domem Karola d'Este. Grom z gromem spadał. Śmierć zabrała nasamprzód małą Klarę. Włoch i piękna Giulia, oboje faworyci księcia, każdy z nich w inną stronę przeciągał sznur intryg. Oboje harmonizowali z swem otoczeniem. Giulia była

kobietą nie dzisiejszych czasów. Miała wszystkie cechy zbrodniarki z epoki Odrodzenia. Powinna była żyć na jakimś dworze włoskim, zajmować się polityką, intrygi knuć, trucizny sposobić, sonety pisać i w towarzystwie jakiegoś mistrza żyć, któryby jej profil, jako niezwykłej kobiety uwiecznił. Słowem, była to skończona dyktantka, doskonała w każdej sztuce. Subtelnie więc, a celowo zmierzała, odgadując wszystkie tajemnice, które się gnieździły w pałacu książęcym i siejąc dokoła ziarna tragedii... Zbliżyła się przedewszystkiem do Krystyny i Ulyka, których kazirodczy stosunek przečuła. Lekturą Annabelli Forda kres położyła życiu wrażliwego Ulyka. Skończył on samobójstwem, nie mogąc znieść w sobie wstępu do życia i wyrzutów, które go dręczyły po czytaniu tej tragedii angielskiej.

Walka pomiędzy Giulą a Włochem toczyła się w dalszym ciągu. Chcieli się nawzajem wyprzeć, każdy z nich w tem większe łaski wkraść się starał u księcia. Ale Włoch lepiej grał swą rolę. Puścił przedewszystkiem siostrę do Rzymu, a za nią hrabiego Franca, gdzie się w kościele katolickim pobrali. Następnie wyszukał dla księcia inną śpiewaczkę, trywialną Paryżankę Lyonetkę i w ten sposób wyparł Giulę. Lyonetka była już mniej w stylu Odrodzenia, ale za to ze swym *petit esprit parisien* tem łatwiej umiała zapanować nad księciem. Język jej był mniej wyszukany, obejście mniej wykwintne. Ale Giulia, choć z dala żyjąca, nie zaniechała swych planów. Jeśli w jej stosunku do księcia interes odgrywał główną rolę, to z Ottonem łączyła ją miłość namiętna, tryskająca życiem, krwią świeżą. Mieszkali z początku z dala od pałacu, ale nie długo wrócili, bo książę się z nią pojednał. W pałacu żyli jeszcze Włoch, Krystyna i Emilia, żona hr. Franca, który zbiegł za szantażem karciany. Ale i Krystyna znikła niebawem, bo ciotka ją nakłoniła do wstąpienia do klasztoru. Książę przebolewał rychło tę stratę, zając się jak zwykle sile cukrzonych owoców. Ale i jego życie zawisło już na włosku. Giulia bowiem i Otton, żarliwie się kochając, coraz to gwałtowniejsi się stawali w wyborze środków do usuwania przeszkód, które im stały w drodze. Ale i tu bystre oko Włocha przenikało wszystko. Właśnie podawała faworytka filiżankę z mlekiem księciu, gdy Arcangeli przestrzegł, wołając: trucizna! Dał tedy skosztować Karol d'Este ulubionemu Cezarowi. W mgnieniu oka pies zdechł. Otton widząc, że zamach się nie udał, chciał strzelić z pistoletu do ojca, ale ten go uprzedził i trzema wystrzałami położył syna trupem... Kłęcząc przed ciałem Ottona, wychyliła i Giulia flakon z trucizną.

Tak zmiotła burza dom książąt Blanckenburskich. Tylko raz jeszcze wyjechał Karol d'Este do Bayreuth, by usłyszeć muzykę Wagnera. Grali „Zmierzch Bogów“. Hans Ryehter dyrygował.

...Ponury krajobraz. U szczytu świętych gór światła szarpały ciemności, a tu i ówdzie rozsiałe trzy córy Erdy, straszne, o włosach białych, ciągnęły przedzę losu. Jedna ogarnia myślą Teraźniejszość, druga całą Przeszość. Po za niemi i bez nich nie istnieje...

I cała przeszłość odżyła w pamięci księcia, tragedia domu, ostatnie spotkanie z Wagnerem i ten tytuł, który usłyszał z ust jego: „Zmierzch Bogów“. Spojrzał na salę i przekonał się, że go ignorują wszyscy, a tylko cesarz Wilhelm i Rotschild są celem witań ze stron wszystkich.

Nie długo po tem umarł, zapisawszy cały majątek miastu Genewie, z pominięciem wszystkich krewnych.

Czytając „Les Oiseaux s'en volent...“ („Ptaki odlatują i kwiaty więdną“), nie wiadomo, gdzie się życie kończy, a gdzie śmierć poczyna, gdzie granica prawdy i złudzenia, gdzie sen a gdzie jawa. Wszystko jak w bajce i nie wbrew życiu.

...Syn Wielkiego księcia rosyjskiego Fedora, którego matka straciła z oczu po samym porodzie z powodu intryg dworskich, wyrósł na obczyźnie w domu jakiegoś Flamandczyka. Jako młodzieniec, nieświadom swego pochodzenia, rzucił się w wir życia paryskiego, brał udział w wojnie, następnie w komunie i jako komundar dostał się do Cajenny. Dopiero galernikiem będąc, przywołany został na dom książęcy, gdzie się miało dlań nowe rozpocząć życie. Zdało się, że po wszystkich mękach życiowych radość i szczęście spłynęły błogosławieństwem na jego byt. Ale nieubłagane fatum nie omija i książąt. Dzieło zniszczenia sięga tak samo wyżyn, jak i nizin społecznych. Wyrwany z mętów życia, na sam szczyt szczęścia wyniesiony, wszędzie tylko ujemne strony życia widział. Tragedya rodzinna, tragedia własna wypchnęły go na nową tułaczkę po nieznanych a dalekich krajach. Wreszcie tknięty dżumą umiera na obczyźnie. W tej samej chwili, brat jego, duchowny — ostatnia latorośl domu — co się Boga wyparł, jakby w wizji straty ostatniej, wszechyna hymn w swej puśtelni nad brzegiem morza Adryatyckiego:

...Dlaczego oplakiwać innych? Dlaczego płakać nad sobą samym? Kim są drudzy? Kim ja sam? Mój ojciec umarł, moja matka umarła, mój brat umarł... Ale czy Ten, który w nich żyje, może umrzeć?

Te ciała, które kończą, biorą swój początek w Duchu niezniszczalnym, niestworzonym. W człowieku i w zwierzęciu, w roślinie i w kamieniu, w umarłym i żywym widzą mędry To Samo.

Bo nie, co tu istnieje, o Panie, materya, ruch, energia, czyn, duch osobisty, nie istnieją po za Tobą, nie różnią się od Ciebie. Twój Byt jest sam dla siebie istnieniem wszystkiego...

Elemir Bourges przedstawia świat książąt w swych powieściach. Współczesną ich tragedję tłumaczy, ale nie nadaje im jakiegoś piętna nadzwyczajności. Ci ludzie, to jak te liście jesienią, które żółknąc, igrają jeszcze na słońcu, by spaść za najbliższym powiewem wiatru. Jak owoce cieplarniane, które usychają na zimnie, tak i przedstawiciele tej sfery, tak cała ta rasa wyradza się w braku ciepła sztucznego. Zetknięcie się z życiem jest dla nich tragedją.

Mędrzec sprawdza wszędzie to samo, artysta zaś, przenikając lśniące pozory, łuszcząc z twardej, pełnej ozdób łupiny życia człowieka, tworzy sztukę. Tylko on wyczuć zdoła subtelność jak i szorstkość agonii.

ADAM CYBULSKI.

KAPLICA SZTUKI CZYSTEJ.

(IV.) Równie bogato, jak dział twórczości rodzimej, przedstawia się w „Chimerze“ dział przekładów. Przy tamtym ostatecznie rozstrzygała do pewnego stopnia — chwila, przy tym rozstrzygał jedynie wybór wydawcy. To też w dziale tym — w omawianych obu tomach podobnie jak w poprzednich — wyraźnie zupełnie wychodzą na jaw znane sympaty miriamowskie. Więc przede wszystkim starzy i młodzi Francuzi! Forma nieskażona, wyrafinowana lub przynajmniej jasna, przezroczysta, skondensowana. Wysoka, schyłkowa kultura. Sztuka „Pani dusz, Wyzwolicielka z ograniczoności cielesnej, pośredniczka między indywidualnością, Duszą a Absolutem“, ogarniająca lub przynajmniej usiłująca ogarnąć niezmierną i nieskończoną jedność bytu... Z pośród Francuzów, względnie Belgów, których imiona spotykamy w dwu ostatnich tomach „Chimery“, lirykę reprezentują: stary Teodor de Banville i młody Jerzy Rodenbach. Parnasista Banville, „clown poezji“ — jak go nazwał Lemaitre — „obłakaniec rymu“, wytworny, lecz zimny i w myśli niebogaty cyzeler słowa, twórca słynnych groteskowych „Od linoskocznych“ — znalazł w Miriamie tłumacza-mistrza. Jego „Życie i śmierć“ z „Karyatyd“, dwa fragmenty ze „Stalaktydów“, „Wygnanie bogów“ z „Wygnańców“ oraz znany prawie powszechnie we Francji „Skok z trampoliny“ z „Od linoskocznych“ przełożył Miriam w sposób prawdziwie niezrównany. Mniej świetnego choć poprawnego przeważnie tłumacza znalazł w osobie p. El-ka Jerzy Rodenbach, pokrewny ziomkom swoim Maeterlinckowi i Khnopfowi, wytworny, subtelny, melancholijny „poeta niemych rzeczy“ (z cyklu „Królestwo milczenia“ i z cyklu „Życie zamknięte“).

Obok tych dwóch nazwisk spotykamy w dalszym ciągu — trzech prozaików, współpracowników „Mercure de France“: Eeekhouda, Schwoba i Gide'a.

Z Jerzego Eeekhouda przełożyła p. Kornicka bardzo starannie jedną nowelę (wchodzącą w skład zbiorku „Cycle patibulaires“), zatytułowaną „Chwała Lutterathu“. Rzecz to sama w sobie piękna i zręcznie przeprowadzona, a osnuta dokoła starego wiejskiego obyczaju flamandzkiego. Jest nim walka, którą o święcony chlebek żytni t. zw. „korsbrood“ w drugi dzień Bożego Narodzenia staczają chłopcy z okolic limburgskiej osady Geleen. Stary Borlinek, fanatyk korsbroodu, — przysięgł, iż zwycięzca dostanie jego córkę, choćby zwycięzcą miał być raz jeszcze Frans, brzydki pół-ślepiec z Krawinkel. Uczynił ten ślub mimo łez Izzy, która od dawna kocha Willema Vogelsanga, brata Alma wygnańca, — Willema, najpiękniejszego młodzieńca Lutterathu, tak jak ona sama jest jego najczarowniejszą dziewczcą. Willem zna nieubłagany upór ojca swej ukochanej. Willem także uczynił ślub: — zwycięży, albo zostanie na placu, zawiadomił nawet o tej złowrogi alternatywie Alma, swego brata i najlepszego powiernika, niegdyś niezwykłego zapaśnika w walce o korsbrood. Rozpoczyna się zacięła, prostymi środkami wybornie przez autora odtworzona walka między: Willemem a Fransem. Chwilę zdaje się już, że Willem wyjdzie z niej zwycięsko, ale oto

raptem Frans bierze górę. Trwoga śmiertelna w sercu zrozpaczonej Izy i daremne błagania pod adresem zaciętego ojca. Ale oto raptem zjawia się nieznajomy mężczyzna, wydiera po krótkiej walce chleb z rąk Fransa, oddaje go Willemowi i ogłasza go zwycięzcą. Chwila entuzjazmu, zakochani padają sobie w objęcia. Ale oto strona pokonana protestuje przeciw ważności zwycięstwa odniesionego przez — obcego. Wtedy nieznajomy daje się poznać, jako Alm Vogel-saug-banita. Widzowie zamykają się w żalobnym milczeniu na myśl o katuszach czekających skazańca. Lecz w tem „z legionu sere ściśniętych“ pierzeja jednogodne politowanie. We wszystkich powstaje pewność, że książę obdarzy starszego Vogelsanga zupełną amnestią. Jego poświęcenie braterskie czyni go nietykalnym. I Lutterath wieńczy dnia tego zamiast jednego — aż dwóch królów...

„Chwała Lutterathu“ o indywidualności i rodzaju talentu swego autora daje zresztą tylko bardzo niedokładne wyobrażenie. Można zaledwie domysleć się z tego utworu, że autor ten jest zwolennikiem „kolorytu lokalnego“, który rzeczywiście we większości swych utworów przesadza zarówno w pejzażu jak i w postaciach zawsze prawie u niego organicznie z tym pejzażem zespolonych. Typowy schyłkowiec, ze szczególniejszym zamikowaniem w ciekawych powieściach swoich idealizuje Eeckhoud i apoteozuje — homoseksualizm (*Escal-Vigor*), co już ściągnęło na niego niejednen proces sensacyjny. Pokrewny w tem Wilde'owi, a pod niejednym względem grupie młodych swoich pobratymców — i pani Rachilde, jest on dziwną, wyrafinowaną mieszaniną prostoty i sztuczności, poezyi i kabotynizmu i tem przynajmniej zdaleka przypomina znów — d'Annunzia i wielu zresztą współczesnych.

Szczerszym od niego i głębszym jest Marceli Schwob, autor przesłicznej, przez Miriam, naturalnie wybornie spolszczonej „Krucyaty dziecięcej“. Jest to szereg krótkich „opowieści“ rozmaitych osób, osnutych dokoła znanego z dziejów powszechnie po dziś dzień niezbadanego faktu, owej dziwnej krucyaty z r. 1212, w której 7000 przeszło dzieciaków z Francyi przez Marsylię i Genę do Jerozolimy „dla zdobycia Grobu świętego“ zdążających znalazło śmierć już to w falach morskich, już to dostało się w niewolę muzułmańską. Symfonia na temat „wiary, która nie wie“, czarująca swą prostotą i głębią, a umiejętnie rozłożona na kilkanaście głosów, zlewających się ze sobą wybornie w białą, świetlaną harmonijną melodyę. Więc najpierw Goliard, „nędzny klecha“, błądzący po lasach i drogach, aby zebrać, a którego „drobna głowina przeźrocza jest i próżna“ a mowa bez ładu i składu, „bo pełen jest radości“, opowiada Panu o tych maleństwach na zgubę oczywistą idących, bo „może nie widział ich, a powinien czuwać nad dziećmi i drobniemi“. Więc trędowaty opowiada, jak pochwycił jedno z tych niewiniątek, ażeby wyleczyć się — krwią jego, a ono w swej nieświadomości bez trwogi mówi mu: „Dla czegoż miałbym się bać ciebie białe człowiecze?“ „Bo jestem trędowaty!“ A dziecko: „Nie wiem“. I trędowaty, garścią trawy wytartą twarz jego i ręce, puścił je. „Panie tych, którzy nie wiedzą, wybaw mnie!“ Więc papież Innocenty III, starzec zdziecinniały a święty modli się w białej swej celee, aby Bóg objawił mu, czy ta dziwna krucyata nie jest dziełem Św. Ducha. „Naucz i oświeć mię, bo nie wiem, Panie. To są twoi

maluczy, twoje niewiniątka. A ja, Innocenty, nie wiem, nie wiem. Więc trzech mali chłopcy Mikołaj, „który wcale nie umie mówić“, Alan i Dyonizy cieszą się, pomimo nożat krwią oczekających, że wszystko takie piękne na ziemi! „A u kresu błękitnego morza jest Jeruzalem. I Pan dozwoli przyjść do swego grobu wszystkim dzieciom maluczkim. I białe głosy rozradują się wśród nocy“. Więc Franciszek Dugolicey, pisarz, zapisuje w swej kronice tę niedorzeczność *Turbac infantium*, którą z Marsylii mistrzowie Hugon Kuty i Wilhelm Odyniec, ażeby miasto od klęski głodowej ocalić, na okrętach swych odwieść mają do Egiptu. Więc pobożny muzumanin Kalandar wysławia Boga i Proroka, że dozwolił tym dzieciom niewiernym, które nie utonęły w morzu, dostać się w ręce wiernych i być zbawionymi przez przyjęcie wiary Mohameda. Więc maleńka Allys, prowadząca małego ślepego Eustacyusza, wędruje wciąż jeszcze przed siebie, choć nie wie, co to Jeruzalem, bo wie, że z pewnością Pan „ulituje się nad wytrwałością Eustacyusza i pozwoli, aby Eustacyusz Go ujrział. A wtedy Eustacyusz ujrzy może i małą Allys. Więc w końcu papież Grzegorz IX. na tronie skalnym u wybrzeża morza, które tyle ofiar pochłonęło. Chciałby je jak niegdyś Xerxes kazać sieć różgami i żąda, by zdało mu rachunek, rachunek Panu za to, co z dziećmi jego uczyniło. „O morze Pośródziemne! przebaczam ci i odpuszczam. Najświętsza daję ci absolucyę. Idź i nie grzesz więcej. Podobnie jak ty, winien jestem błędów, o których nie wiem wcale. Ty spowiadasz się nieustannie u wybrzeża tysiącem twych ust jęczących, a ja spowiadam się tobie, o wielkie, święte morze, zwiędłemi memi usty. Spowiadamy się jedno przed drugim. Rozgrzesz mnie, jako ja cię rozgrzeszam. Powróćmy do nieświadomości i czystości. Tak niechaj się stanie...“ Biała symfonia Schwoba kończy się zbawczym, wszechświat miłośnie ogarniającym, finałem *Alles vergänglichliche ist ein Gleichniss*“.

Ile harmonii w „Krucyacie dziecięcej“ tyle rozdźwięków z większym jednak zespolonych mistrzostwem w tem dziele dziwnem, oteklanniem głębokiem, tragicznie uśmiecniętem a przemawiającem do nas zupełnie odrębną mową, dzieło, którego nie waham się postawić na czele wszystkich innych współczesnych w „Chimerze“ zamieszczonych: w „Prometeuszu źle spętany“ „Andrzeja Gide'a (przekład J. N.) Spróbuję streścić je w jego ogólnych zarysach: Prometeusz „aby zmienić położenie“ schodzi pewnej jesieni między czwartą a piątą popołudniu na bulwar wiodący od Magdaleny do Opery paryskiej, wstępuje do restauracyi, w której spożywa śniadanie w towarzystwie dwóch ludzi. Pierwszy z nich, Damokles, otrzymał 500 franków, z którymi nie wie co począć i które pozbawiają go zupełnie spokoju; drugi, Kokles, otrzymał policzek od człowieka, który poprosił go o napisanie na kopercie czyjego kolwiek adresu. Była to sprawka milionera, który znudzony determinizmem i chcąc spełnić dwa uczynki zupełnie bezinteresowne (uczynek autochton), postanowił posłać 500 temu, czyj adres człowiek zupełnie nieznan, a który podejmie mu chustkę opuszczoną na ulicy, napisze mu na kopercie a następnie — uderzyć w twarz tego człowieka. (Cała śmieszność przypuszczenia czynu bezinteresownego przejawia się w tym barokowym pomysśle!) Niepokój ciągle Damoklesa, do chwili otrzymania tych 500 franków, nie mającego żadnych dziejów w a-

anych, zdziwienie Koklesa i trwoga przed otrzymaniem nowego policzka, rola bezsensowna a okrutna boskiego Milionera. („Czy Pan jesteś Panem Bogiem?” pyta go Prometeusz?” — „kazałem tak mówić o sobie”), wszystko to raptem zostaje urwanem przez autora i oto zaczyna się inna historia: Prometeusz wygłasza odezwy o swoim orle. (Opuszczam świetną scenę w kawiarni, przy której nagle przez szybę wystawową na wątrobę Prometeusza wpadający orzeł wyija Koklesowi oko — oraz opis karmienia orła przez przypadkowo jako fabrykanta zapalek — bez zajęcia uwiecznionego Prometeusza i t. d., jako rzeczy w danym razie mniej ważne). „Panowie, trzeba mieć orła. Zresztą każdy z nas ma jakiegoś”. Trzeba mieć orła, ale niewiadomo dlaczego. Jest to błędne koło logiczne. Błędne koło logiczne jest stwierdzeniem temperamentu. Temperament Prometeusza stwierdza się w tej formule: nie cierpię ludzi, kocham to, co ich pożera. Zapalając się coraz bardziej, przekonuje się on, najpierw kochał ludzi, że dlatego dał im orła, ale wobec tego, że orzeł pożerał ich i stał się ich pięknością — przeniósł orła nad ludzi. Ale zanim przedtem przeniósł go nad nich w zupełności, kochając wówczas nieco ludzi dla nich samych — to jego wanie czyniło ptaka starym, osowiałym i brzydkim, stąd podobnym do sepa. Ażeby stać się mógł pięknym, trzeba go było karmić i poświęcić się jemu w zupełności. (To świadomość tego, sumienie nazwano sępem pozbawionym piękności, niegodnym sprawianym przez siebie mąk i wyrzutów). Atoli błędne koło powraca: dlaczego orzeł? Prometeusz więc kończy swój odezwy wśród strasznej rozterki duchowej, finałem porywającym swoją liryczną pięknością. Pod koniec opowiadania, Damokles, w paroksyzmie trwogi, w którą popadł w skutek niemożności spełnienia swego obowiązku (komu oddać 500 franków?) umiera, oszalałszy z rozpacz. Pogrzeb. A Prometeusz nad mogiłą wygłasza „Historję Tytyra“, niezamożnego Tytyra „otoczonego bagnami“, który staje się niewolnikiem dębu przez siebie posadzonego i to do tego stopnia, że musi dokoła niego wybudować miasto. Opowiada to tylko, jako reakcję po historii orła: historia orła była patetyczna. Historia Tytyra jest bladeńska: w pierwszym wypadku trzeba się poddać pięknu, jako konieczności, w drugim uchylić się przed koniecznością. Na zakończenie Prometeusz w towarzystwie Koklesa i t. zw. garsona (w tej samej, co na początku restauracji o „systemie stolików na trzy osoby“) spożywają utuczonego wspaniale — orła. Z jego piękności wczorajszej coż pozostało. „Schowałem wszystkie jego pióra“ — odpowiada Prometeusz — a autor zaręcza, że jednym z tych piór napisał właśnie swoje opowiadanie...

Przy pierwszym czytaniu wrażenie niezapomniane. Forma barokowa, lafargue'owska, a dziwnie prosta, jasno skryształizowana, pomimo symbolów przepastnych, które woiela, i horyzontów bezkreśnych, które o chwila odsłania. Treść zrazu śmieszczą i zaciekawiająca wariacjami na pierwszy rzut oka pomysłami. Potem swolna symbol się wyjaśnia aż do najdrobniejszych szczegółów allegorycznych. Myśl autora zarysowuje się coraz wyraźniej. Śmiech z ust nie schodzi, ale staje się coraz dziwniejszy, coraz bardziej sztuczny, jakiś rozpaczliwie beznadziejny, drgający coraz głośniejszą ukrytą fałszywą nutą bezbrzeżnej, zrygnętej melancholii — buntu i znów zręczenia się... Kto zna całą twórczość Gide'a od jej początków

(*Voyage d'Urien, Paludes, les Nourritures Terrestres, El Hadj, le roi Coudule...*), dla tego „Prometeusz“ stanowił będzie szczyt dotychczasowy tej jedynej w swoim rodzaju poezji spekulatywno-symbolicznej, tego „niepokoju filozoficznego“, jak ją nazywa p. Miodre i ten znajduje w tym dziwnym aredydzie wszystkie tak rozmaite i sprzeczne ze sobą głosy w poprzednich utworach rozlegające się. Cały Andrzej Gide mieści się w Prometeuszu. Mówi do nas, rozbudza w nas jakąś myśl głęboką i rozwija ją aż do paradoksalności i śmiejąc się z niej razem z nami i potem rzuca nas nagle, i śmieje się z nas, przetrzuca się raptownie bez przejść żadnych do myśli nowej, która jest wprost antypodem poprzedniej. Tak prowadzi nas coraz dalej wśród coraz większego niepokoju, dając nam przeczuwać światy tajemne, skryte wśród cienia. Cały nieład pozorny układa się według linii, której kontur od czasu na jaw się wydobywa. Styl Gide'a odpowiada najwierniej jego myśli: „bezczucie moje — pisze on — nie igra nigdy ze stylem, z obawy, ażeby styl z nią sobie nie poigrał; potrzebuje ono słów i stara się zawrzeć z niemi stosunek przyjacielski; zachodzą nawet pomiędzy niemi wzajemne powinowactwa“. Dziwna rzecz nawet, że tego rodzaju wyrafinowany ironista tak bardzo *retour sur soi-même* żywi dla formy cześć tak wielką, która obok treści wewnętrznej nie ma także zjednać sobie musiała — Miriama. Jako forma nieskażony w swych konturach tragedii greckiej, a zupełnie od „Prometeusza“ różny jest starszy od niego drugi utwór Gide'a w „Chimerze“ zamieszczonej „Filoktet czyli traktat o trzech moralnościach“, rzecz silna i głęboka, rozbiegająca znów metafizyczny problemat enoty bezinteresownej. Artystycznie doskonały, utwór ten idealowo jest tylko jednym etapem w drodze, którą przebył umysł autora i znajduje obok innych odzwierciedlenie swoje w „Prometeuszu“, uogólniającym rzecz do problemu uczynku bezinteresownego wogóle.

(C. d. n.)

OSKAR HERTWIG.

Biologia i jej stosunek do socjologii.

(II) Z takim samym jednak prawem, z jakim energicznie zaprotestowana przeciwko mistyce przywiązanej do wyrazu siła życiowa, ja chciałbym przestrzedz przed przeciwną znów ostatecznością, zbyt już skłonną do jednostronnego, również niewłaściwego a więc ostatecznie nieprawdziwego przedstawienia procesów życiowych. Ostateczność ta polega na upatrywaniu w tych procesach jedynie chemiczno-fizykalnego i mechanicznego problematu, na uznawaniu prawdziwej nauki przyrodniczej o tyle tylko, o ile ona potrafi sprowadzić zjawiska do ruchów przyciągających i odpychających się atomów i o ile zdoła wyrazić to rachunkiem matematycznym.

Słusznie fizyk Mach nazywa podobne poglądy i dążenia „mechanistyczną mitologią w przeciwstawieniu do animistycznej w starych religiach“ i w obydwóch upatruje „niepowołane i fantastyczne wybujałości jednostronnego poznania“.

Moje stanowisko w omawianej kwestii wynika z przekonania, że żyjący ustrój to nie tylko zbiór ciał chemicznych i podścielisko sił fizykalnych, lecz także

szczególnej organizacyi o swoistej budowie, dzięki której różni się nader istotnie od świata nieorganicznego i dzięki której jedynie może być nazwany żyjącym.

Cheąc być lepiej zrozumianym, posłużę się porównaniem tak często przytaczanem w celu określenia budowy i sposobu działania organizmu i stosowaniem od czasu znanego wyrażenia de la Mettrie'a „l'homme machine“. Pomimo, że to porównanie nie jest zupełnie trafne, albowiem organizm wielu ważnemi i jedynie go cechującemi właściwościami różni się od wszystkich urządzeń maszynowych, to jednak bez wątpienia jest pod pewnym względem pouczające.

Porównajmy tedy organizm z maszyną niestęchanie złożoną.

Zupełne, przyrodnicze objaśnienie takiej maszyny również rozpada się na trzy części: Chemik powinien nas zaznajomić z rozmaitemi ciałami użytymi do zbudowania maszyny, oraz z temi, które, służąc jej jako paliwo lub źródło, siły mogą być porównane do pokarmów ustroju. Fizyk objaśnia nas o ilości energii, wprowadzonej do maszyny przez takie lub inne źródło siły, dalej mówi o jej przemianach w mechaniczną, cieplną i elektryczną energię i wreszcie wyraża w liczbach ich wzajemne stosunki wartościowe.

Przez podobne jednak wyjaśnienia chemika i fizyka nie wiemy jeszcze nic o właściwej istocie samej maszyny. O tem może nam jedynie coś powiedzieć inżynier mechanik, mianowicie tłumacząc plan jej budowy, cel, dla którego służy, znaczenie licznych kół różnego kształtu i wielkości, dalej objaśniając według określonego planu i ścisłego obrachunku połączenie drągów, tłoków i pasów, użytek kotłów parowych i wentylów. Musi on nam także pokazać, gdy maszyna będzie puszczonej w ruch, w jaki sposób oddzielne jej części poruszają się wzajemnie i jak przez szczegóły współdziałanie są w stanie wykonać to, do czego zmierza całe urządzenie.

Pomimo tedy, że maszyna składa się z tych samych substancyj, jakie i tak skądinąd w przyrodzie znajdujemy i że wszystko odbywa się w niej na podstawie sił przyrody, to jednak przedstawia ona zagadnienia przekraczające zwykłe zadania chemika i fizyka.

Nowe te zagadnienia powstały po prostu przez to, że w maszynie substancye chemiczne przyrody są użyte do nowych urządzeń i celów, przez co zostają osiągnięte zupełnie osobne rodzaje działań, takie mianowicie, jakich nie znajdujemy w całej pozostałej naturze. Wszak każdy rodzaj maszyny odpowiada pewnemu osobnemu zadaniu, które ma rozwiązać inżynier-mechanik.

Stanowisku tego ostatniego w mojem porównaniu odpowiada stanowisko anatoma-biologa przy objaśnianiu żyjącego organizmu. — Przez to bliżej określiłem mój punkt widzenia w tej tak ważnej kwestyi i jednocześnie także zastrzegłem się przeciwko zarzutowi, jakobyem chciał wprowadzić do fizjologii nowy rodzaj witalistycznej, mistyki twierdząc, że życie nie jest po prostu, jak często czytamy, chemiczno-fizykalnem zagadnieniem, ani też nie polega, jak chce pewien fizjolog, na przemianie materji ciał białkowych.

Przeciwnie powtarzam, że życie powstaje na podstawie swoistej organizacyi, właściwej jedynie istotom żyjącym.

Jeżeli zadaniem chemii jest zbadać niezliczone połączenia najrozmaitszych atomów w cząsteczki, to, ściśle biorąc, nie może ona w ogóle głębiej wnikać w istotę zagadki życia. Wszak to ostatnie właściwie zaczyna się dopiero tam, gdzie ustają badania tamtej. Ponad budową chemiczną cząsteczki wznosi się budowa substancji, jako dalszy, wyższy rodzaj organizacyi, w podobny poniekąd sposób, jak ponad budowę ustroju zwierzęcego wznosi się ten ostatni najwyższy szczebel organizacyi, jaki powstaje przez społeczne połączenie ludzi w państwie. Każda z tych rozmaitych organizacyi, w których cudowna istota natury objawia się coraz to z innej strony w doskonalszej postaci i w coraz bardziej złożonych działaniach, musi być badana i objaśniana za pomocą odpowiednich dla niej metod: organizacya społeczna przez nauki socyalne, organizacya żyjącej substancji roślin i zwierząt przez anatomiczny kierunek w biologii, organizacya cząsteczki przez chemię.

Z trzech kierunków w biologii, anatomiczny jest o wiele starszy od pozostałych. Już w XVI wieku napotykamy świetną anatomiczną trójgwiązkę, którą składają: Andrzej Vesaliusz, Eustachiusz i Fallopiusz; następne stulecie daje wielkie, dla sztuki leczniczej tak ważne odkrycie krążenia krwi przez słynnego angielskiego fizjologa Wiliama Harvey'a; XVIII wiek stwarza podstawy anatomii porównawczej i histologii w osobach Cuviera i Bichata. Wszystkie jednak poprzednie wieki przewyższa głębokością wnikań w istotę roślinnych i zwierzęcych ustrojów nasz wiek dziewiętnasty, w którym kierunek anatomiczny biologii nie pozostał w tyle za chemicznym i fizykalnym.

Za pomocą wysoce udoskonalonych szkieł powiększających, oraz złożonych, histologicznych metod badania, anatom może obecnie zapuścić się w taki świat mikroskopowych stosunków organizacyi, o jakim dawniej zaledwie mógł marzyć.

W niewiele dziesiątkach lat rozwinęły się dwie obszerne anatomo-biologiczne dziedziny naukowe: historia rozwoju oraz nauka o komórkach i tkankach, przyczem głównie zasłużyli się tacy badacze, jak Karol Ernest Baer, Schleiden, Schwann, na gruncie zaś patologicznym Rudolf Virchow zdobył sobie nieśmiertelną sławę swą patologią komórkową.

Pięćdziesiąt lat temu, przy odkryciu komórki organicznej, sądzono, że głęboka przepaść pomiędzy martwą a żywą przyrodą została wyrównana. Komórka miała tu być mostem. Wielu badaczy, nawet Schwann, porównywali powstanie komórki z procesem krystalizacyi; sądzili oni, że wytwarzają się młode komórki z odpowiedniego roztworu ciał organicznych, cytoblastemu, poniekąd jak kryształ almu z roztworu macierzystego. Niektórzy oddawali się nawet śmiałej nadziei, że w odpowiednich warunkach można będzie sztucznie wytworzyć komórkę, podobnie jak chemik przez syntezę prostszych pierwiastków tworzy ciała złożone.

My jednak dziś jesteśmy skromniejsi, albowiem któż zechciałby jeszcze oddawać się podobnym awanturniczym nadziejom? Głębsze zbadanie cudownych zjawisk życiowych w komórce, przedewszystkiem jednak dojrzałszy, filozoficzny sposób zapatrywania na zagadnienia biologii, stopniowo doprowadził do poznania, że komórka nie jest weale względnie prostym organicznym kryształem, lecz czemś o wiele bardziej złożonem, a mianowicie sama jest organizmem ele-

mentarnym. Powracając raz jeszcze do wyżej użytego porównania, powiemy zatem, że komórka jest maszyną o złożonej budowie, w której jednak rozmaite części składowe są tak subtelne i małe, że nie dadzą się odróżnić nawet za pomocą najsilniejszych naszych szkielek powiększających. Po za światem małych ustrojów, do którego możemy przeniknąć dzięki mikroskopowi, przewidujemy świat ultramałych organizmów, obecnie tak samo a może i więcej zamknięty dla naszego poznania, jak świat komórek dla biologa przed 500 laty, to jest przed odkryciem szkielek powiększających.

Co zmusza ostrożnego badacza do tak odległego przypuszczenia? Oto prócz kilku, na obserwacji opartych powodów, przede wszystkim następujące rozważanie:

Każda istota żyjąca, a więc i człowiek w pewnej fazie swego istnienia przedstawia przejściowo małą jedyną komórkę zarodkową, z której następnie, drogą nadzwyczaj ciekawych i prawidłowych przemian, rozwija się ustrój określonego kształtu i wielkości.

He milionów rozmaicie ukształtowanych gatunków roślin i zwierząt zamieszkuje naszą ziemię, tyle istnieć muszą rodzajów komórek zarodkowych, z których każda musi się nieco różnić organizacją od drugiej, jakkolwiek wszystkiego tego dostrzedz nie jesteśmy w stanie. Albowiem, jak kamień rzucony w powietrze i poddany działaniu ciężkości spada na ziemię, tak z każdego rodzaju komórki zarodkowej zawsze rozwija się jeden tylko dany ustrój. Wynika z tego, że w komórce zarodkowej muszą tkwić ściśle określone formy organizmu. Czytelnik uprzytomni sobie nadzwyczajną złożoność takiego zaczątku, gdy zważy, że zwierzę ssące różni się od ptaka lub jaszczurki setkami tysięcy cech, że w obrębie jednego gatunku zwierzęcego oddzielne osobniki różnią się wzajemnie w drobniejszych cechach, oraz, że wszystkie większe i mniejsze niezliczone własności odróżniające bywają przenoszone czyli odziedziczone przez następne pokolenia za pomocą komórek zarodkowych.

Wiele filozofów i przyrodników zeszłych wieków, taki Leibnitz lub Haller, umieli z tego znaleźć objaśnienie jedynie w przypuszczeniu, że zarodek to nie innego, jak nieskończenie mały obraz dorosłego stworzenia, jakies najmniejsze miniaturowe wydanie tego ostatniego.

Otóż taki punkt widzenia, znany w historii nauk pod nazwą teorii preformacji, musiał być opuszczony jako pozbawiony podstawy, albowiem badania wykazały, że z początku zarodek jest komórką, podobną do miliona innych komórek, składających następnie ciało wykształconego zwierzęcia. Dlatego też zarodek nie może być tak uorganizowany jak dojrzałe zwierzę. Przeciwnie, musimy przyjąć, że komórka zarodkowa posiada całkiem swoistą, jej jedynie właściwą organizację, różną dla rozmaitych gatunków ustrojowych.

(Dok. nast.)

AFORYZMY.

107. We wszystkim, w co ludzie wierzą, jest część prawdy; ta prawda stanowi tło i watek, na których okazałe budujemy fałszywe. *J. Supiński.*

108. Przenośnie nie stanowią nauki.

Ives Guyot.

109. Najgłówniejszy użytek, jaki czynimy z naszej miłości prawdy, jest ten, iż wmawiamy w siebie, że to, co kochamy, jest prawdziwe. *Nicole.*

110. Matematyka nigdy nie burzy prac okresów poprzednich.

Gino Loria.

111. Najniebezpieczniejszymi kłamstwami są polowiczne prawdy.

112. Trzeba mieć więcej jeszcze odwagi, niż rozumu, aby myśleć zgodnie z prawdą.

M. Wertheimer.

113. Dla teoretyka, dla artysty, dla estetyka, wytwarzanie jest namiętnością, spożycie — tylko zadowoleniem.

G. Tarde.

114. Oryginalne głupstwo znajdzie zawsze zapalonych apostołów i głupców, którym pochlebia, że rozumieją to, czego mądrzy nie rozumieją.

E. Wertheimer.

115. Umysły najinteligentniejsze są najbardziej uzdolnione do tego, aby się mylić.

Condillac.

116. Mówią, że liczby rządzą światem; nie — liczby wskazują tylko, w jaki sposób świat jest rządzone.

Goethe.

117. Wiele rzeczy niewątpliwych ulega zaprzeczeniu, wiele fałszywych przechodzi nie zaprzeczonych; ani zaprzeczenie nie jest oznaką mylności, ani brak zaprzeczenia oznaką prawdy.

Pascal.

118. Rozum może określić tylko to, co jest prawdą, — uczucie ludzkie jedynie poznaje to, co jest dobrem.

Ruskin.

119. Przypadek jest starciem przyczynowości zewnętrznej i celowości wewnętrznej; niema przypadku nazewnątraz nas, niema go wewnątrz nas.

P. Souriau.

120. Są ludzie, których rozum wystarcza za ledwie na ukrywanie głupoty.

121. Trudniej jest wytłumaczyć fałsz, niż wytłumaczyć prawdę.

Criton.

122. Im bardziej człowiek rozwija się od głowy, tem bardziej dążyć będzie do bieguna przeciwnego — do nieracjonalności.

E. Renan.

123. Działaj jako część wolna całości solidarnej.

Sécrotou.

124. Życie jest swego rodzaju ciążeniem ku sobie.

Guyeau.

125. Niejeden odnajdzie swe serce nie przedziej, aż głowę straci.

Fr. Nitsche.

126. Ten tylko żyje prawdziwie, kto nie żyje zamym sobą.

Menander.